

Ławeczka Józefa Barana (10)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

RZECZYWISTOŚĆ W NAPARSTKU

Każdy z nas ma do dyspozycji naparstek
którym usiłuje wyczerpać świat

Przez chwilę czyli w młodości nawet wierzymy
że uda nam się to zrobić

26 czerwca-15 lipca

Borzęcin z przerwami na Kraków. Tłuma-
czyłem wiersze Kaługina, pisałem wstęp do
„Twórczości”, gdzie publikuję moje listy od listy
Erny i Artura Sandauerów

Szkice do portretu Pana Artura i Erny

W porównaniu na przykład z takim Sławo-
mirem Mroźkiem, dla którego korespondencja
była jedną z literackich form i jedną z projekcji
istnienia, Artur Sandauer traktował listy jako
„PS” do życia. Korespondentem bywał nietę-
gim; zbyt niecierpliwym i zbyt „publicznym”, by
dzielić się intymnościami w listach. Cały wy-
chylony na zewnątrz – realizował się raczej w
wykładach, gwałtownych polemikach, w
sztuce konwersacji („która”, jak powiadała,
„upada”), w artykułach krytycznoliterackich
czy przekładach. Dlatego nasza trzynastoletnia
znajomość, która z czasem przerodziła się na-
wet w jakiś rodzaj zdystansowanej, ale nace-
chowanej serdecznością przyjaźni – w małym
stopniu odzwierciedlała się w listach. Zbyt czę-
sto spotykaliśmy się „na żywo”, rozmawialiśmy
przez telefon, by listy nie zostały zepchnięte na
margines. Jakość korespondencji często uzależ-
niona jest od odległości dzielącej koresponden-
tów. Mroźek mieszkał w Paryżu i nasze listy –
wydałem je w książce pt. *Scenopsis od wieczności*

– bywały w tamtych czasach jedyną formą kon-
taktu, Sandauer mieszkał „tylko” w Warszawie.

Do Warszawy jeździłem wtedy stosun-
kowo często i stosunkowo często gościłem u
Artura w jego mieszkaniu na Karłowicza, gdzie
mogłem zawsze liczyć na nocleg i wieczorną
rozmowę o Gombrowiczu, Schulzu, Białośzew-
skim, Leśmianie i w ogóle o literaturze przez
duże „I”. Przy zastawionym stole milcząco, ale
życzliwie krzątała się Erna, która czasem za-
praszała mnie do swojej pracowni malarskiej,
żeby pokazać mi nowe kolaże. Obydwoje kilka-
krotnie odwiedzili mnie w Krakowie, gdzie Ar-
tur czytał swoje przekłady z Rilkego. Spotykali-
śmy się ponadto w Zakopanym (w zaikso-
wskim hotelu „Halama”), na warsztatach literac-
kich w Giżycku, które prowadziliśmy wspólnie,
czy na festiwalach poetyckich między innymi w
Łodzi.

Można rzec, że stałem się z czasem nieomal
„domownikiem” Erny i pana Artura, którego
niektórzy traktowali w tamtych czasach jako
srogiego cesarza krytyki, gdy ja tymczasem wi-
dywałem go w szlafrokach, w piżamie, podkra-
dającego z półmiska plasterki kiełbasy (a było
to mu – diabetykowi – zakazane), czy tłuką-
cego się po mieszkaniu jak nocny Marek (miał
kłopoty z zasypianiem). Uważałem go za osobę
mi bliską, a nawet – ze względu na różnicę
wieku – za kogoś w rodzaju mojego przybra-
nego ojca intelektualnego, bo przecież z moim
ojcem-chołpem nigdy nie mogłem pogadać o
tym, co mnie pasjonowało – o książkach... Mia-
łem szczęście – jak mi mówił Sandauer – po-
znać go już „w złagodzonej wersji”, co nie zna-
czy, że nasza przyjaźń przekraczała granice po-
ufałości. Zbyt był przywiązany do form, które
zresztą – o paradoksie – często jako krytyk i
człowiek – przekraczał i łamał.

Jak doszło do poznania? Impulsem stał się
podobno wiersz Śpiąca konduktorka, na który
krytyk natrafił w miesięczniku „Poezja” (w
1973 r.), gdy – nomem omen – sam jechał po-
ciągiem. Wiersz wpadł mu w oko i przypadł do
gustu na tyle, by – gdy rok później otrzymał od
telewizyjnego „Pegaza” sterę tomików debiu-
tanckich do oceny – skupił uwagę właśnie na
moim zbiorze Nasze najszersze rozmowy, uzna-
jąc go za najciekawszy debiut roku. Do-
wiedziałem się o tym – jak o sensacji od ekipy
telewizyjnej z „Pegaza”, która nagrała ze mną w
Krakowie rozmowę. Tymczasem ja, nieuk, nie
wiedziałem wówczas jeszcze, kto to Sandauer,
czym wprawiłem redaktora w lekkie osłupie-
nie. Program został wyemitowany. Ja w mię-
dzy czasie uzupełniłem wiedzę o krytyku, ale za
wystąpienie w telewizji podziękowałem mu
dopiero w rok później, kiedy wydałem kolejny
zbiorek poetycki Dopóki jeszcze i wysłałem
profesorowi z czułąbitną (bo jakże by inaczej)
dedykacją. A co działo się później – to już w li-
stach...

Układa się z nich wieloletnia historia mojej
znajomości z Sandauerami. Przy czym trzyna-
ście pierwszych lat to prawie wyłącznie listy z
Arturem, następne – to korespondencja z
Erną...

Zapamiętałem ich obojga jako „zgodne
mażeńskie przeciwieństwo”: ogień i woda, bu-
rza i milczenie, sztorm słów i cisza morska.
Przy stole biesiadnym „tokował” zawsze Artur.

Erna w tym czasie z tajemniczym uśmie-
chem sfinksa formowała z papierowych serwet-
tek figurki baletowe, którymi obdzielała dzieci
(moje), a i czasem nas dorosłych. Czują się, że
Erna ma jakąś tajemnicę w środku. Dopiero po
latach dowiedziałem się o tragicznych prze-
życiach malarki w okresie okupacji, gdy na jej
oczach szmalcownik zamordował w lesie jej ro-
dziców, a ona sama cudem z tego wyszła, tak
jak cudem wywinęła się też z Holocaustu, ukry-
wając się przez parę lat w różnych miejscach i
miastach...

Tak, Erna cała osnuta była tajemnicą i dys-
krecją, ale od czasu do czasu wpadała w „szam-
pański nastrój” i wykrzesywała za siebie fajer-
werki surrealistycznego ścichapek humoru –
układając żartobliwe kalambury, powie-
dzonek, wierszyki albo przekraczając pełne po-
wagi zdania Artura i kształtując z nich – jak z bi-
bułek figurki – słowne wygłupy. Wtedy pan Ar-
tur czuł się ubezwłasnowolniony. Jego profes-
orska powaga na tle jej wygłupów stawała się
przez chwilę anachroniczna. Komentował to
dobrotliwie: „Ela kocha wygłup. Wszyscy mala-
rze kochają wygłup. Są nie na serio”...

W latach osiemdziesiątych Artur Sandauer
przystał do obozu Jaruzelskiego. O szczegółach,
związanych z tym „nieszczęsnym” – jak mawiał
pod koniec życia – akcesem, piszę szerzej w
przypisach do listów. Uważał, że stan wojenny
był złem koniecznym ze względu na możliwość
interwencji sowieckiej. Działał nawet w Naro-
dowej Radzie Kultury. Twierdził, iż dlatego, bo
miał nadzieję przekonania generała, by wpro-
wadził do szkół średnich łacinę, gdyż Polacy są
językowo „niedouczeni” (sam znał grekę, łaci-
nę, hebrajski i posługiwał się w miarę biegle
bodaj jedenastoma językami)...

Warto na koniec tego postscriptum dodać,
że zarówno moje ostatnie spotkanie z Arturem,
jak i z Erną, miały dość dramatyczny charakter.
W 1988 roku na wieść o tym, że profesor jest w
szpitalu na warszawskim Bródnie w stanie
śpiączki – pojechałem do niego z kwiatami, lecz
do rozmowy nie doszło. Leżał nieprzytomny,
oczy miał zamknięte, wydawało mi się, że śpi,
choć podobno moją obecność zarejestrował, o
czym doniosła mi w listach Erna.

Z Erną po raz ostatni spotkałem się w 2003
roku, gdy przyjechałem do córki Asi do szpitala
na Mokotowie (gdzie przyszła na świat moja
pierworodna wnuczka) i postanowiłem zajrzeć
przy okazji (z drugą moją córką Ewą) do bli-
skiego mi mieszkania przy ulicy Karłowicza.

Zastałem Adama (syna Erny i Artura),
wówczas dziewięćdziesięcioletnią staru-
szeczkę, która miała już tak wtedy mocne za-
niki pamięci, że mnie nie poznała. Odebrałem
to jako szok... Mimo to rozmawialiśmy i poczę-
stowała nas herbatą i ciastkami. Jak surreali-
styczny żart zabrzmiało jej zdanie: „Siadajcie,
częstujcie się, ja nikogo nie pamiętam, nic nie
wiem, poza tym że urodziłam się we Lwowie”.
„Miejsca urodzenia sobie człowiek nie wy-
biera” – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.
„Tak pan myśli? Czy ja wiem... może jednak to
od nas też zależy... gdy bardzo tego chcemy” –
odrzekła z tajemniczym uśmiechem.

cdn.